

BATOZEK.

Komedia w dwóch aktach,
UŁOŻONA NA TLE ŻYCIA KO-
ŚCIUSZKI

PRZEZ

A. KORZENIOWSKIEGO.

CHICAGO, ILL.
DRUKIEM I NAKŁADEM WŁ. DYNIEWICZA,
1895.



OJCOWIE SALWATORIANIE
5755 Pennsylvania St.
Gary, Indiana

BATOŻEK.

Komedia w dwóch aktach.

UŁOŻONA NA TLE ŻYCIA KO-
ŚCIUSZKI

PRZEZ

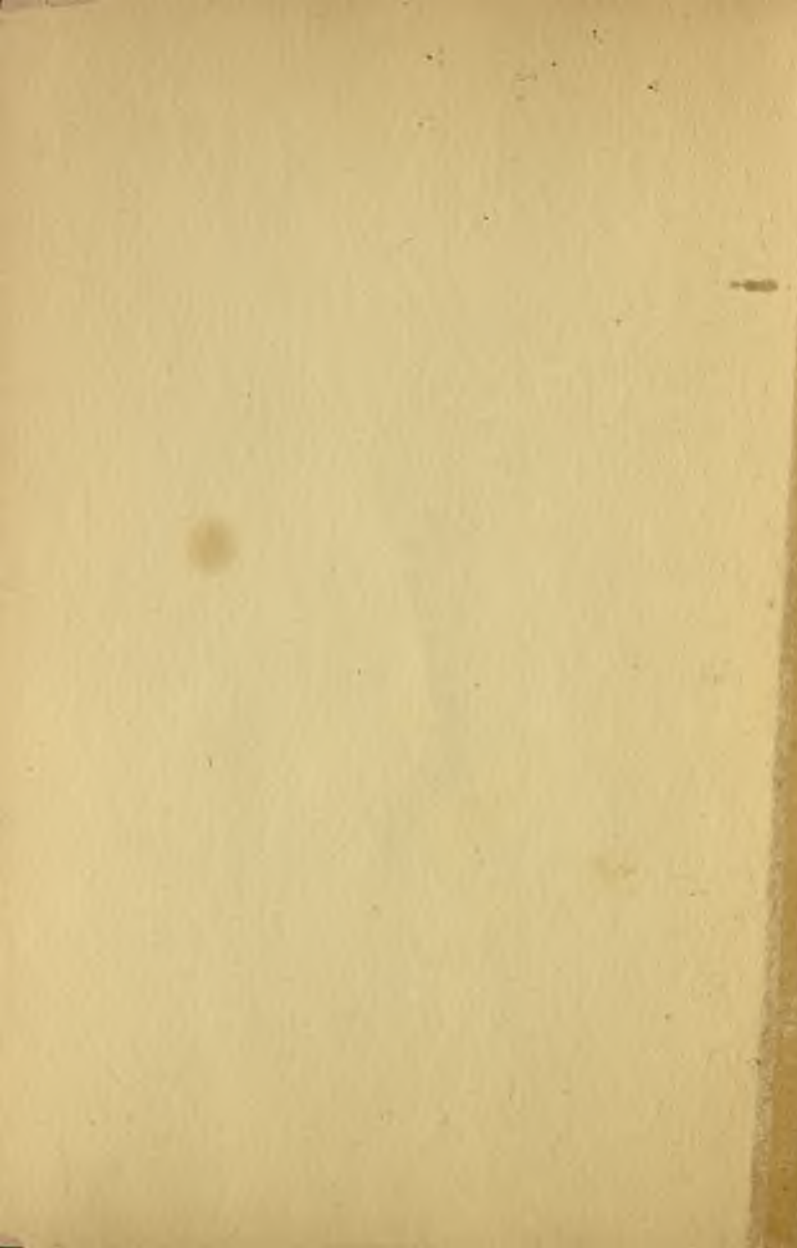
A. KORZENIOWSKIEGO.



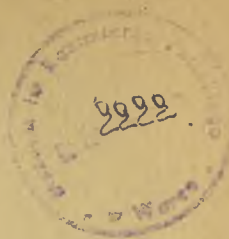
CHICAGO, ILL.

DRUKIEM I NAKŁADEM WŁ. DYNIEWICZA.

1895.



OJCOWIE SALWATORIANIE
5755 Pennsylvania St
Gary, Indiana



B A T O Ź E K .

KOMEDYA W DWÓCH AKTACH,

ułożona na tle życia Kościuszki

— przez —

A. KORZENIOWSKIEGO.



OSOBY:

Antoś i Funia, dzieci siodlarza Jana. Tomaszek, Karolek, Tadzio i Zosia, dzieci rzemieślników i mieszczan. Marcelek, syn bogatego obywatela.

Rzecz dzieje się w Warszawie r. 1794.

A K T I.

Sklep siodlarza Jana biedny, opuszczony; kilka rzemieślnych rzeczy, okrytych pyłem, wisi na kołkach. Antoś siedzi przy warsztacie i plecie batożek.

SCENA I.

ANTOŚ (*przerywając robotę*).

Nigdy go nie skończę, ręce mi drżą, jak we febrze. Bez tatki rady sobie dać nie mogę. Mój dobry Boże! czemu mnie już wielkim nie zrobisz? Czemu ja nie tak silny i nie tak zręczny, jak nasz czeladnik, co nas opuścił, perzucił? Dałbym wszystkiemu radę! O tatce ani słuchu, od kiedy namówiony przez pana majstra Kilińskiego wyruszył z sąsiadami do Kościuszki. Grosza nie ma w domu... Matuła chora...

(*Po chwili*).

Kiedy ja ten batożek skończę?... Panicz, co go ka-

zał upleść, ma dziś przyjść po niego i zapłacić. Jak zobaczy niezdarną robotę, gotów nie wziąć i pieniędzy nie dać! Matko Boska! pomóż mi! Ja nie dla siebie, ja dla mej matuli proszę. O Matko Boska nasza.

(Pracuje gorliwie. Wchodzi Funia i na palcach zbliża się do Antosia).

SCENA II.

ANTOŚ i FUNIA.

ANTOŚ *(spostrzegając Funię).*

A co matula?

FUNIA.

Śpi teraz.

ANTOŚ.

Chwała Bogu.

FUNIA.

Za wszystko Bogu chwała, jak nas matula uczyła. Ale jaki to sen, pozał się Boże! Twarz błąda, oczy niezupełnie zamknięte; rękami rzuca, czasem je jak do modlitwy złoży i krzyż w powietrzu robi, jak to nad naszymi głowami zwykle czyni.

ANTOŚ.

Kochana matula!

FUNIA.

Gdzieś tam serce jej cierpi, nie śpi i czuwa nad nami; bo przemówi we śnie czasem, a głos taki słodki, taki słodki, że oglądam się na obrazek, czy to nie Częstochowska przemówiła. W niebie tylko taki głos być może! Jak powie przez sen: Funiu! Antosiu! to mi łzy gwałtem do oczów się cisną i szlochać się chce, a boję się i uciekam do ciebie *(płacze)*.

ANTOŚ.

Nie płacz, Funieczko! Bóg taki dobry, tata i matula tacy poczciwi, toż i oni mają zapewne łaskę u Boga. On nas i ich nie opuści. Ot! widzisz, nie łaskaż to z nieba, ja co nie umiałem przy tatce nic zrobić, teraz patrz... *(pokazuje jej butożek)* jaki siarczysty batóg plotę. Matuli mej pracy potrzeba, to Bóg mnie pracować nauczył.

FUNIA.

Tem bardziej mi smutno. Widać ja nie mam łaski u Boga, kiedym do niczego, kiedy ani tobie, ani matuli pomódz nie mogę w niczem.

ANTOŚ.

Grzech tak mówić, Funieczko! A któż ciebie nauczył, jeżeli nie Pan, abyś, jakby już dorosła, tak czuwała, tak pielęgnowała chorą matulę. Ty nie śpisz, modlisz się! na skinienie matuli jesteś ciągle; ja nie śpię i pracuję. Jak ojciec powróci, powie: Dobre dzieci?

FUNIA.

Ale kiedy powróci i czy powróci?

ANTOŚ.

Jeszczeby! A czemużby nie miał powrócić?

FUNIA.

A jak go Moskale gdzie zabijają?

ANTOŚ (*zrywa się od warsztatu*).

Jak to być może, żeby Moskal mógł Polaka zabić!! zakżeś widziała, jakto oni uciekali, gdy we wielki wartyk pan majster Kiliński i różni rzemieślnicy ich z warszawy pędzili! A tatko teraz przy panu Kościuszcze, to powiadają ma takie czary, że z każdego człowieka żołnierza zdolnego robi, a wszystko, co pod ręką ludziska mają, w broń niezwalczoną zamienia.

FUNIA.

Słyszałam o tem. Ale nim tatko powróci, matula bez pomocy, a taka chora! Nuż jej się uprzykrzy i odejdzie do Boga!

ANTOŚ.

Wstydz się Funiu! Matula nie zechce dzieci swoich opuścić.

FUNIA.

Biedni my, biedni, i matula i my! Już od wczoraj kawałka chleba nie ma w domu; leków dla matuli niema!

ANTOŚ.

A zapomniałaś, co ksiądz od fary nam mówił: "Kogo Pan Bóg stworzy, tego nie umorzy". Nie płacz Funieczko! Przecież ja mężczyzna. Nie dam zginąć wam. Ot (*bierze batożek*) batożek ukończę; panicz przyjdzie, bo obiecał; zapłaci dziesięć złotych i będziemy mogli tego ziela kupić, co doktor powiada, że podźwignie matulę z łóżka.

FUNIA.

A może, może ten panicz, gdy zobaczy, że my tacy biedni i tacy mali przy matuli chorej pracujemy, to przyrzuci co jeszcze i cytrynę dla matuli będziemy mogli kupić.

ANTOŚ.

I to być może, ale to niepewna. Bogaci nie wiedzą, co nędza, co bieda, gdzie im jeszcze myśleć o nas! Ale gdy bardzo kontent będzie z batożka, to może co na piwo mi da: bo to podobno już ich zwyczaj taki, kiedy zadowoleni z biednych, to dają im pieniądze na napój.

SCENA III.

(Iż sami: KAROLEK, TADZIO, ZOSIA, TOMASZEK.)

(Wbiegają z krzykiem i hałasem.)

ZOSIA.

Funiu! Funiu!

KAROLEK.

Chodźcie! chodźcie!

TADZIO.

Tylko prędko! prędko! Bo przejdą — nie dogonimy!

TOMASZEK.

Śliczności! Śliczności! Chodźcie! Chodźcie!

ANTOŚ.

Dokąd? po co?

FUNIA.

Nie hałasujcie! Matula chora, obudzicie ją. Nie hałasujcie!

TADZIO.

Teraz wszyscy zdrowi być powinni!

FUNIA.

Cicho, Tadzio! Wszak i ty kochasz swoją matulę i płakałbyś, gdyby jej ktoś przykrość zrobił.

ANTOŚ.

Ależ mówcie, tylko nie tak głośno, czego biegacie po ulicach? Co się stało? Czegoście tacy zadowoleni?

ZOSIA.

Nasi idą! nasi przyśli! I mój tatko, i twój i jego — wszyscy.

ANTOŚ i FUNIA.

A nasz? a wasz?

ZOSIA.

A i wasz jest zapewne. Ale gdzie tam na kogo patrzeć, kiedy na siebie oczy zwraca ten, co na przodzie jedzie. Chodźcie, chodźcie! Zobaczycie Kościuszkę.

TADZIO.

Jaki konik tęgi pod nim! Idzie, jak na powietrzu, oczy mu świecą, rozgląda się po ulicach, ale to jak człowiek! Uszami strzyże i ciągle parska, a ludziska wrze-

szcza: „Na zdrowie! na zdrowie”! Ogon jak czub! A taki śliczny, że u żadnej pani na głowie takiego nie widziałem.

ZOSIA.

Konik piękny, dzielny, żywy — prawda. Ale on na nim jeszcze piękniejszy! On? Ach! Funiu, on taki—taki, że mimo woli do Boga się wzdycha, aby do niego tatko lub brat był podobny.

TOMASZEK.

Bo szabla brzęczy! Bo to ładownica na nim połyska! Bo to czapka na bakier, zdaje się ot, ot w górę polecieć! A ostrogi świecą u butów. Gdy się poruszy, to i wojsko ten sam ruch powtórzy. Gdy skinie, to się wszystko wojsko i lud pochyli. Jak to kiedyś widziałem na polu kłosa się chyliły, gdy wichur przeleciał.

ZOSIA.

A jak patrzy! jak patrzy na nas, na cały lud, co się ciśnie mu do nóg! Tak patrzy, jak kiedyś widziałam, mój starszy brat na swoją narzeczoną patrzeć, gdy szli od ślubu. Gdyby ludzie tak ciągle na siebie patrzeć mogli, to prędkoby wszyscy ze szczęścia pomarli i staliby się aniołami.

ANTOŚ I FUNIA.

To pewno Kościuszko! Pewno Kościuszko!

TOMASZEK.

A jużci nie kto inny. On tylko jeden może być tak od wszystkich kochany! Czy wy wiecie, że gdy on stąpa po kraju, to ludzie mu, do orszaku, jak z pod ziemi rosną; każdy rzuca dom żonę, dzieci...

ZOSIA.

Bo on ich do dobra wszystkich prowadzi.

FUNIA.

I nasz tatko tak mówił, kiedy nas porzucał; bo powiedział, że my i matula i tatko nawet to nic, gdy o wszystkich chodzi.

— 9 —
TOMASZEK.

Mówią, że on czarodziej, pan Kościuszko. Że ma takie dwa słowa, że jak je powie, to wysokie się chyli a niskie wyrasta. Poczekajcie, przypomnę sobie...

WSZYSTKIE DZIECI!

Przypomnij, przypomnij i powiedz! To i my taką moc mieć będziemy, jak Kościuszko.

TOMASZEK.

Ojczyzna i ofiara!

KAROLEK.

A toż to nam powtarzać te wyrazy jak pacierz, bo mój tatko tłumaczy, że chociaż trudno, abyśmy Kościuszkami byli wszyscy, ale te wyrazy złożą z nas siłę, którą pan Kościuszko wojuje.

WSZYSTKIE DZIECI OPRÓCZ FUNI.

Chodźmy krzyczeć około niego te czarodziejskie słowa. Chodźmy, chodźmy!

(Wybiegają ze sklepu. Antoś porzucił batożek i za nimi chce wybiec)

SCENA IV.

ANTOŚ i FUNIA.

FUNIA *(zatrzymuje brata).*

A tyś zapomniał, że tatko do tych wyrazów pana Kościuszkę dodawał trzeci jeszcze: Poczciwość!

ANTOŚ *(spiesząc).*

Nie zapomniałem, nie. Puszczajże, niech to przypomnę kolegom!

FUNIA.

Ale czy sam będziesz poczciwy, jak porzucisz matulę, batożka nie dokończysz, ziela dla matuli nie kupisz?

ANTOŚ.

Ależ Funiu — To Kościuszeko!

FUNIA.

Gdybyś był dorosłym, jak tatko, to jabym ciebie nie zatrzymywała, jak matula ojca nie zatrzymywała.

ANTOŚ.

Tyś mądra dziewczyna, Funiu, i pocziwa bardzo. Dziękuję tobie i kocham cię jeszcze więcej. Idź do matuli, ja zostanę przy batożku, bo to obowiązek, a obowiązek to godność nas, biednych ludzi. (*Funia wychodzi*).

SCENA V.

ANTOŚ *sam*.

ANTOŚ (*pracuje i kończy batożek*).

Przecie! Jakoś mi poszło dobrze. Widać Bóg nagrodził, żem się przyjemności wyrzekł. (*Trzaska biczykiem*). Tęgo! ślicznie! Chyba ten panicz bardzo wymyślny, gdy nie będzie zadowolony. Aż żal ten batożek oddawać. Oj, tobym nim sztuk dokazywał. Aj! aj! Gdybym ja był na miejscu tego panicza, a dla mnie kto biedny taką przyjemność zrobił, dałbym mu.... dałbym.... aż dukata i jeszcze kilka groszy. Już i nasz dawny czeladnik nie lepszego by nie sporządził. Batog na urząd, co się zowie! (*Po chwili*). Możebym teraz mógł pójść do pana Kościuszki? Co? A nuż pójde. Bo nasze przekupki powiadają, że do takiego człowieka i pomodlić się nie grzech. A pójde. (*Po chwili*). Nie. Lepszą mam rozrywkę. Pójde zobaczyć matulę; może się obudziła, może mi co powie dobrego, że aż wyrosnę! (*Wchodzi do pokoju matki*).

SCENA VI.

MARCELEK, później ANTOŚ.

MARCELEK (*wchodzi w czapce, rozgląda się i czapki nie zdejmuje*).

Nikogo nie ma. Jak tu brudno. Wszędzie zawałać się można. Wszyscy ci rzemieślnicy jacyś niegrzeczni lu-

dzie. Zapach przykry — coś czuć! Nikt nie przychodzi... Cóż to? Czekać na siebie każą? Zawołam lokaja, aby ich odszukał i powiedział im, że źle służą i już nigdy roboty im nie dam. A może sam krzyknę... *(wola)* Hej! jest tam kto?... hej!

ANTOŚ *(wybiegając z pokoju matki)*.

Niech pan tak nie krzyczy.

MARCELEK.

A ty jak śmiesz mi rozkazywać?

ANTOŚ.

Ja proszę tylko. Matula nam chora i spoczywa, ot tam w komorze.

MARCELEK.

To mógłbyś grzeczniej prosić.

ANTOŚ.

Co, to panicz, grzeczniej? Tatko mi mówił, że prawda zawsze grzeczna, a to prawda, że matula chora i że panicz tak wrzasnął, że aż mię ciarki przeszły, aby matula się nie obudziła.

MARCELEK.

Batożek gotów?

ANTOŚ.

Gotów, proszę panicza.

MARCELEK.

Pokaz go.

ANTOŚ.

Oto jest. Starałem się koło niego, aby mi panicz darmo nie płacił. Swiszczy siarczyście! Trzaska jak z pistoletu! Niech panicz spróbuje. *(Podaje batożek Marcelkowi)*.

MARCELEK.

A jakie brudne ręce! Mógłbyś je umyć, kiedy masz co komu podawać.

ANTOŚ.

Nie miałem czasu się opłukać, tylko co skończyłem robotę. Niech panicz spróbuje.

MARCELEK (*próbując batożka*).

Batożek dobry. Trzaska wyśmienicie, świszczy nie źle. Ale żeś był niegrzeczny dla mnie, więc go nie wezmę.

ANTOŚ (*przestraszony*).

Ach! paniczu mój złoty!

MARCELEK.

Na drugi raz będziesz miał rozum.

ANTOŚ.

Mój paniczu najmilszy!

MARCELEK.

Będiesz wiedział, co grzeczność.

ANTOŚ.

Będę, będę paniczu! Przepraszę, jak zechcesz. Do nóg upadnę. Tylko weź robotę. Tylko zapłać mi za nią.

MARCELEK.

Dobrze u nas mówią, że ci biedni bardzo na pieniądze chciwi. Wstydź się!

ANTOŚ.

Prawda. Chcę tych kilka groszy; to pierwsze moje zapracowane. Tatko mówi, że pierwszy grosz zapracowany, to pierwsze błogosławieństwo Boże. Ja chcę mieć swój zarobek.

MARCELEK.

Chcę!? No, proszę! On mnie rozkazuje! Qbedrzeć gotów!

ANTOŚ.

Ależ to na ziele dla chorej matuli! Ależ ona umrze, jak ja tego ziela nie kupię! O! mój paniczyku kochany! Łaj mnie, wymyślaj, uderz, jeżeli zawiniłem, ale nie od-mawiaj zapłaty. Tam matula słabuje, Funia tam płacze, a ojca nie ma, nikogo nie ma.

MARCELEK.

A co mi do tego? Byłeś niegrzeczny, muszę cię ro-zumu nauczyć. Tatko powiada, że my was wychowywać powinniśmy.

ANTOŚ.

Srebrny, złoty, dobry paniczu! Ja całe życie wdzię-czny ci będę! Ja się modlić za ciebie nie przestanę! I matula moja, jak oprzytomnieje i podniesie się z choro-by, za was i za waszą matulę prosić Boga będzie. O! mój paniczu! (*klęka przed nim*).

MARCELEK.

Dałem sobie słowo honoru, że batożka twego nie we-zmę, muszę dotrzymać (*rzuca mu pod nogi batożek*). By-waj zdrów. — A na drugi raz grzeczniejszym bądź.

(*Marcelek wychodzi. Antoś jak ostupiały klęczy przez chwilę*).

SCENA VII.

ANTOŚ *sam*.

ANTOŚ (*zrywa się*).

Pan Bóg większy pan od ciebie! Pan Bóg lepszy od każdego pana! Pan Bóg ma więcej pieniędzy od boga-tych — niech tobie nie pamięta! Nie kochasz ty zape-wne swej matuli, kiedyś mojej poratować nie chciał. Idź-że sobie. Prawda, nauczyłeś mnie rozumu. Teraz wiem,

że tylko Bóg dobry sierotom i biednym nic nie odmawia. Niech się tylko pomodłę, a zobaczysz, że mimo ciebie On mnie pocieszy i poratuje.

(Chwilę milczy, jak gdyby się modlił. Za sceną słychać ruch ludzi i okrzyki: "Niech żyje pan Naczelnik"! Autoś na te odgłosy jak gdyby się ocknął).

Wszyscy biegna, krzyczą, weseli. radzi! Pójdę między ludzi, tam takie szczęście, że jak kogo o co poproszę, pewno mi nie odmówi. Tam ich tylu, a wszyscy podobni do mego ojca. Jak im opowiem, to przybiegną. Jak wyciągnę rękę, dadzą jałmużnę. *(Idzie i zatrzymuje się nagle).* Nie, tatko mówił, że człowiek zdrow i silny nie ma prawa żebrac. Mówił też, że tylko praca ratuje *(chwytając za batog)*. A to moja praca. Niech mnie ratuje. Jam płakał, gdy splotałem ciebie. Ratuń mię. *(po chwili).* To Bóg mi myśl zsyła! Pójdę. — A nuż ten Kościuszko spojrzysz na mnie tak, jak Zosia mówiła, wtedy tyle szczęścia przyniosę do domu, że wszystko dobrze będzie. *(wybiega z batogiem).*

(Zastona spada).

A K T II.

SCENA I.

ZOSIA, TOMASZEK, TADZIO, później KAROLEK.

TADZIO.

Ależ tu jasno! Ależ tu pięknie! Ależ to jak w kościele!

TOMASZEK.

Co tu siodeł! Co tu trzeli! Co tu batogów! Gdyby był koń, tobym zaraz kulbaczył, zaraz siadał i jechał do pana Kościuszki!

ZOSIA.

Nie ruszajże tylko nic. Stary pan Jan tego nie lubi, a jego trzeba słuchać i dogadzać jemu, bo powiadają, że on się bardzo dla wszystkich zasłużył.

TOMASZEK.

Wielka sztuka zażyć się przy Kościuszcze! Dajcie mi dziesięć Moskali, a niech tylko pan Kościuszko patrzy na mnie, to im wszystkim się nie dam, a jeszcze pobiję ich.

TADZIO.

Ależ tu pięknie aż strach! Pan Jan jest zapewne jak król bogaty.

ZOSIA.

A dni kilka temu, pamiętacie! gdy pan Kościuszko wchodził do miasta, jaka to była bieda. Pani Janowa słabowała, pana Jana nie było, Funia we łzach marniała, a Antoś tylko udawał, że jeść nie chce.

TADZIO.

Niezawodnie jaka zabawa tu będzie, że tak się przystroili.

TOMASZEK.

I po nas wszystkich posłali.

ZOSIA.

A mnie matka wyprawiając, mówiła: "Idźcie do Antosia i Funi, tam wielkie szczęście Bóg dał za poczciwość. Uczcie się od nich i od rodziców, jak trzeba żyć na świecie".

TOMASZEK.

A mnie tak samo tatko przestrzegał.

TADZIO.

I mnie coś mówili, ale ja tak się wyrwałem, że dobrze nie pamiętam. Nic to nie szkodzi. Ja choć czego nie wiem, to będę patrzeć, co Antoś i Funia robią i tak samo robić będę.

ZOSIA.

Ale zkad państwo Janowscy takich skarbów dostali?

TOMASZEK.

A cóż? Zapewne wszystko przy panu Kościuszcze, bo

tatko powiada, że przy nim człowiek jakoby w chwale niebieskiej. A w niebie pewno, na dostatkach nie brak.

ZOSIA.

Karolek wie, jak się stało. Obiecał nam opowiedzieć.

TOMASZEK.

Już i on powinien tu być.

TADZIO.

A! ot idzie, idzie!

(Wchodzi KAROLEK: wszystkie dzieci go otaczają).

ZOSIA.

No! Jakże to było?

TOMASZEK.

Ty podobno sam widziałeś?

KAROLEK *(z zapalem)*.

I widziałem! I słyszałem! I śmiałem się! I płakałem! Bo wy nie wiecie; wyobraźcie sobie.... ludu jakby maku nasiał! pułki idą, muzyka gra, dzwony biją! W każdym oknie i na każdym piętrze tylko głowy widać, tylko ręce klaszczą!... Aż strach!...

TOMASZEK.

Ależ my to samo widzieli.

KAROLEK.

Prawda, i wyście widzieli; nie to miałem opowiadać. Wyobraźcie sobie pan Kościuszko w białej sukmanie na koniu przodem... Koń szuka bruku, a znaleźć go nie może, bo ludziska tyle tam kwiatów pod kopyta mu rzucili. Pan Kościuszko ręką się kłania, a poważnie spogląda. Na jego oczach, jak matulę kocham, jak tatkę kocham, w oczach dwie takie duże, jasne łzy stoją, że mógłby niemi, jak święconą wodą, cały lud pokropić.

TOMASZEK.

Ot, niedarmo syn zecera. W książkach siedzi, to później gdy gada, w oczach mu druk staje i mówi jak drukowany.

KAROLEK.

No, no, nie kpij ze mnie. Już to prawda, że ja taki. Jak co przyjdzie opowiadać, myśli mi po głowie jak zające skaczą, a czegoś się rozglądam, chciałbym razem widzieć i ziemię i ludzi i niebo i — aż do Pana Boga bym frunął! No, nie wiem jak się stało, że raptem pan Kościuszko się zatrzymał i wszyscy stanęli tak nagle, żem sobie przypomniał historję świętą, jak Bóg żonę Lota w słup soli zamienił. Bo tak wszyscy stanęli nieruchomie, jak skamienieli i cisza taka nastąpiła, że muchę, co leci, słyszeć można było. Spojrzę. Aż oto nasz Antos przed koniem pana Kościuszki rezolutnie stoi, tylko że był bardzo blady. Widzę, batożek wyciąga, a pan Kościuszko dobrotliwie się pochyla na szyję konia. Wtem, mówię wam, że tak było cicho, jak gdyby nikogo na świecie nie było. Wtem słyszę, Antos woła: "Panie Naczelniku! Panie Naczelniku"! Aż pan Kościuszko pyta: "Czego chcesz dziecko moje"? Widać na głos takiego wielkiego człowieka Antos już przytomność stracił i chciałby przemówić, a słowa grzęzną mu w ustach, i tak chwilę mocując się z sobą, stoi milczący. Aż mnie złość porwała, a żal się go zrobiło. Więc wrzasnę z okna: "Wstydz się Antku! tchórzysz!? co"? — Powiem wam, jak koń zacięty biczem, rzucił się nasz Antos i słyszę jak mówi: "Ja się nie boję, ja nie tchórzę! Żli tylko boją się pana naczelnika. — Ja syn Jana siodlarza, pan Naczelnik pewno zna go, syn tego Jana, co to pomagał panu Kilińskiemu! Ja bardzo biedny! Oto batożek, sam nie umijęc prawie, tylko z Bożą pomocą sporządziłem go. Matka złożona chorobą, mała siostra taka śliczna, żeby pan Naczelnik wiedział, płacze, aż serce się kraje. Batożka nie chcą przyjąć na obstalunku... A tu chłodno! głodno! Ziela na leki dla matuli nie ma kupić za co. Wszyscy ludzie dobrzy, ale pan Naczelnik pewno najlepszy! Jak on nie kupi batożka, to już chyba Bóg go kupi. Proszę pana Naczelnika wziąć go. Jabym darował, ale Bóg świadek, że mi koniecznie tych kilku złotych dla matuli potrzeba. Weźcie go panie naczelniku! Weźcie a zapłaćcie, bo mi bardzo smutno i straszno". A jak ryknie płaczem, aż lud sobie płakać zaczął. A pan Kościuszko wziął batożek w ręce, Antosowi dał dwa dukaty, a obróciwszy się do otaczających rzekł: "Kto mię kocha, zamówi taki batożek u tego małego majstra". No, co?

ZOSIA.

Cóż dalej?

KAROLEK.

Antosia pochwycili oficerowie i obywatele między siebie, wzięli go na ręce i odwieźli do domu; a tyle zamówień na podobne batożki zrobiono, że pan Jan nastarczyć nie może i już ma majątek.

WSZYSTKIE DZIECI.

Oto Antoś szczęśliwy!

KAROLEK.

A bo i pocziwy.

ZOSIA.

Mogą się cieszyć jego rodzice. gdy Bóg ich tak nagradza pociechą z dzieci!

TOMASZEK.

Oto wiecie co? Ja co myślę ciągle bić się i wojować widzę dobrze, że i bez tego można pięknie się zasłużyć. A otóż Antoś i Funia. Któż to jeszcze z niemi?

SCENA II.

Ciż sami, ANTOŚ, FUNIA, MARCELEK.

WSZYSTKIE DZIECI.

Antosiu! Funiu! Jacy wy szczęśliwi! Jak my was kochamy!

ANTOŚ *(biorąc za rękę Marcelka).*

Pokochajcież i jego, bo to nowy nasz przyjaciel.

KAROLEK.

A więc i jego kochać będziemy. Im więcej, tem lepiej. Ale najwięcej was — pocziwych!

FUNIA.

Nie nasza to zasługa, żeśmy tacy, bo i Bóg nas tak stworzył i rodzice nauczyli być takimi. A on sam się

domyślił, że źle zrobił; sam pożałował i sam poszedł do nas z wielkim wstydem.

WSZYSTKIE DZIECI.

A cóż on zrobił?

FUNIA.

A jeżeli nie wiecie, wiadomość ta wam niepotrzebna. Wiedźcie tylko, że to nasz przyjaciel i kochajcie go, jak nas kochacie.

MARCELEK.

Ja nie chcę mieć przywiązania darmo. Nie chcę nikogo oszukiwać. Źle zrobiłem. Myślałem, że wszyscy mi dogadzać, że wszyscy służyć mi powinni. Przebaczenie mi, bo dosyć sam już się napłakałem!... Nikt nie widział mego wstydu, gdy opowiadano u moich rodziców, opowiadano ze łzami w oczach historię Antosia i jego batożka. A ten batożek ja odrzuciłem dla dogodzenia gniewowi niesłusznemu. Ja odrzuciłem ten batożek, który przywiązanie do matki pletło, który wytrwała praca uświęciła, a pocziwy uczynek zapłatą mu być miał. Odrzuciłem, a ci, co opowiadali tę historię, nie wiedzieli mego nazwiska, lecz Bóg je wiedział. Bóg mój żal zobaczył i myśl mi dobrą zesał. Poszedłem do rodziców Antosia, przeprosiłem ich, a wiem, że i Pan Bóg mi przebaczył, bo oni mi pobłogosławili, a błogosławieństwo ich to przebaczenie Boże!... Teraz przy was wszystkich przepraszam Antosia i Funię, przepraszam was i wszystkie polskie dzieci, którym ziemi być nie wolno.

WSZYSTCI.

Przebaczamy! przebachamy! Kochamy! kochamy!

MARCELEK.

Pozwólcie więc mi pozostać między wami i podzielić się szczęściem dzieci tych ojców, którzy za nas wszystkich walczyli.

KAROLEK.

Zuch chłopiec! Pięknie mówi.

TOMASZEK.

A ty zaraz myślisz, że z twego cechu, że także syn zecera.

KAROLEK.

A, potroszę. Bo co ojcowie zecerowie układają, to on czyta, więc trochę jest ich dzieckiem.

MARCELEK.

Ich dzieckiem trochę — ale waszym bratem zupełnie.

FUNIA.

Radość więc i szczęście i zgoda! Tatko powiada, że gdyśmy śmiecie nieprzyjacielskie z Warszawy wymietli, to i zabawić się godzi. A! Otóż i muzyka!

(Wchodzi muzyka i jeszcze kilkoro dzieci płci obojej).

Ot i reszta towarzyszy. — Zapraszam do tańca!

TADZIO *(do muzyki).*

A no, grajcie grajki! A tylko od ucha, jak mówi dziadunio, kiedy się weseli.

(Muzyka gra krakowiaka. Funia z Marcelkiem w pierwszej parze: inne dzieci parami za nimi zaczynają tańczyć.

Zasłona spada).

